

Wojna podobno jest piękna

PREMIERA | „Moc przeznaczenia” stanowi najlepszy dowód, że i na małej scenie można zrobić wielkie przedstawienie.

JACEK MARCZYŃSKI

Na tle aktualnych burzliwych zdarzeń w różnych polskich teatrach Opera Śląska w Bytomiu jawi się jako oaza spokoju i artystycznej normalności.

Gdy marszałek Mazowsza rękami dyrektora Alicji Węgrzewskiej niszczy obecnie wieloletni dorobek Warszawskiej Opery Kameralnej, gdy Urząd Marszałkowski w Łodzi postanowił przerwać kruchą stabilizację artystyczną w tamtejszym Teatrze Wielkim osiągniętą po dekadzie zawirowań personalnych, w Bytomiu robi się to, co należy – tworzy sztukę. Powinno to być normalne lecz u nas staje się coraz rzadsze.

Opera Śląska ma przy tym ambicje i odwagę, dysponując skromnymi możliwościami technicznymi postanowiła wystawić „Moc przeznaczenia” Giuseppe Verdiego. Akcja tego czteroaktowego utworu rozgrywa się zaś na przestrzeni kilkunastu lat w arystokratycznym pałacu i w wiejskiej karczmie, na polu bitwy i w klasztorze, w obozie wojskowym i w leśnej pustelni.

Troje skonfliktowanych ze sobą bohaterów występuje zaś ciągle w rozmaitych przebrańiach, a wątek miłosny, choć niby jest klarowny, to już w pierwszej scenie pada śmiertelny strzał, co powoduje kolejną komplikację zdarzeń. Alvaro niechętnie zabija ojca ukochanej Leonory, więc jej

brat Carlos poprzysięga mu zemstę, chce też ukarać siostrę, uważając, iż uległa podłemu kochankowi.

„Moc przeznaczenia” z tak skomplikowaną intrygą stosunkowo rzadko zatem pojawia się na scenach świata, w Polsce – raz na kilkadziesiąt lat. I tylko muzyczny geniusz Verdiego sprawił, że dramaturgicznie rozwleczone „Moc przeznaczenia” momentami bywa porywająca.

Bytomski spektakl nie nuży, a to już jest zasługą reżysera Tomasza Koniny, który zrobił spójną opowieść. Skoro akcja przenosi się z miejsca na miejsce, więc chór żołnierzy na oczach widzów przebiera się na przykład w cywilne łachy i staje się tłumem biedaków błagających o posiłek przed bramą klasztoru. Takie działania wynikają ze ograniczonych możliwości Opery Śląskiej, ale przede wszystkim jest w nich logika reżyserskiej koncepcji.

W konwencjonalnej XIX-wiecznej operze Tomasz Konina potrafił odnaleźć głębszy sens. Przewrotnym hasłem jego spektaklu może być zdanie „Wojna jest piękna”, wyśpiewane radośnie przez tych, którzy ruszają do walki. Szybko się bowiem okazuje, jak złudne jest to przekonanie.

Każda wojna prowadzi do zniszczenia, również ta prywatna. W Bytomiu wszystkie akty toczą się w tych samych dekoracjach – pałacu rodziny Calatravy – ulegającemu coraz większej destrukcji. Ojciec



♦ **Mariusz Godlewski** (Carlos) i **Maciej Komandera** (Alvaro)

rodu i Carlos wypowiedzieli zaś wojnę Alvarowi dlatego, że jest pół-Indianinem, a więc kimś innym, gorszym. Tomasz

Konina uniknął pokusy łatwej aktualizacji tego wątku, rozgrywając jednak akcję poza konkretnym czasem pokazał,

że tego typu konflikty są wieczne i zawsze groźne.

Spektakl ma więcej atutów. Orkiestra prowadzona przez

Jakuba Kontza bogatą w odcienie interpretacją współtworzy dramaturgię zdarzeń. Mocno zaznacza obecność na drugim planie Grzegorz Szostak w podwójnej roli starego Calatravy i zakonnika Gwardiana. Przejmującą liryczno-dramatyczną Leonorą jest Anna Wiśniewska-Schoppa.

Mariusz Godlewski postać mściwego Carlosa buduje właściwie na jednym tonie, ale też ta postać tak została zakomponowana przez Verdiego, a ten baryton wie, jak interpretować jego muzykę. I tylko Maciej Komandera zdecydowanie przekroczył normę brzydkich dźwięków przypadających na metr kwadratowy sceny w przedstawieniu, które chce trzymać klasę. @@

@ masz pytanie, wyślij e-mail do autora

j.marczynski@rp.pl